

The book cover features a central illustration of a large, dark red, textured object, possibly a piece of wood or a large nut, set against a dark green background. The object is surrounded by various colored elements: a blue cylindrical shape on the left, a purple cylindrical shape on the right, and several reddish-brown cylindrical shapes at the bottom. A white line drawing of a woman with long, flowing hair is superimposed on the central red object. The text is arranged as follows: 'MONIKA KNAPCZYK' at the top right, 'CÓRKA SŁOŃCA' in the center, and 'PRAWO MIŁOŚCI' at the bottom right.

MONIKA
KNAPCZYK

CÓRKA
SŁOŃCA

PRAWO
MIŁOŚCI

**MONIKA
KNAPCZYK**

CÓRKA SŁOŃCA

PRAWO MIŁOŚCI

Tom II

Copyright © Monika Knapczyk, 2020

Copyright © Wydawnictwo Inspiracje, 2020

Ilustracja na okładce © Weronika Węsek

Instagram: art_and_cactus

Redakcja i skład: Monika Knapczyk

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

ISBN 978-83-953104-7-8

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Wydawnictwo Inspiracje



Puławy 2020

www.mojeinspiracje2017.blogspot.com

moje.inspiracje.2017@gmail.com

Marcinowi i Magdalenie

pierwszym czytelnikom i recenzentom tej książki

ROZDZIAŁ XVI

DWIE KOBIETY

Aldorent Morrison myślał przez okrągłe dwa tygodnie niemal bezustannie o zaskakującej, namiętnej chwili pomiędzy nim a Derrą. Mógłby wykorzystać swoją pozycję wysokiego funkcjonariusza ZSS, wejść jeszcze raz do mieszkania Carradine'ów i porwać dziewczynę. Pewnie nie opierałaby się zbytnio, gdyby obiecał Derze to, czego domagała się od niego od samego początku: że odwiezie ją do Sochoła. A może nie musiałby jej niczego obiecywać, ponieważ uległaby mu, kierowana samą fascynacją lub nawet miłością. To ostatnie słowo wypowiadał zresztą w myślach nieśmiało. Rozsądek mówił Eliminatorowi, że nie powinien oczekiwać od Derry tak wielkiego uczucia do niego. Ale, jak zwykle bywa, serce niechętnie słuchało rozsądku.

A może rzeczywiście odwiózłby ją do Entorii. Może nawet zostałby tam z nią na dłużej, rzucając w diabły ZSS i zabijanie. Takie szalone myśli snuł, gdy miał trochę wolnego czasu i mógł pozwolić sobie na pofantazjowanie. Wiedział jednak dobrze, że nie odważy się na złamanie kodeksu postępowania organizacji, której przysiągł wierność do ostatniego tchu i ostatniej myśli, niczym kobiecie. To, że wymawiane słowa nie płynęły z serca, lecz były realizacją woli matki, nie miało najmniejszego znaczenia. Gdyby pomógł Derze i związał się z nią, stałby się odszczepieńcem bez możliwości powrotu do kraju i do zawodu, a każdy z jego dawnych kolegów miałby prawo go zabić.

Poza tym nie wierzył, by ten związek mógł być udany. Wprawdzie istniał w Sangacji niepisany zwyczaj, że mężczyźni wiązali się z młodszymi, a nawet sporo młodszymi kobietami, ale w ich przypadku różnica wieku była zbyt duża. Derra pod wieloma względami pozostawała wciąż dzieckiem. Nie, to nie miało sensu. Mężczyzna po trzydziestce nie powinien marzyć o upojonej nocy w ramionach szesnastolatki.

Dlatego wraz z upływem dni myślał o niej coraz mniej, aż wreszcie przestał zupełnie. Derra Amno stała się dla niego mglistą i dość odległą postacią, która nie odgrywała znaczącej roli w życiu mężczyzny. Wciąż docierały do niego nowiny na jej temat od kolegów, którzy pracowali z nastolatką na co dzień. Pewnego dnia dowiedział się, że Derra prawie nie rozstaje się z jednym z kolegów ze szkoły, do której uczęszcza. Pogodził się wtedy ostatecznie z myślą, że ścieżki życia jego i Entorrianki muszą biec oddzielnie.

Nareszcie miał kilka dni wolnego. Posprzątał starannie całe mieszkanie, nie omijając nawet coraz bardziej zagraconej „rupieciarni”, wybrał się do kina na jakiś film akcji, kupił i powiesił nowe zasłony do sypialni, obejrzał wystawę kotów rasowych i zjadł dobrą kolację w „Gwieździe Północy”. Wszystko to zrobił sam i kiedy wracał na piechotę do domu – nie brał samochodu, ponieważ nie umiał oprzeć się pokusie wypicia lampki przyzwoitego wina do tak wystawnej kolacji – po raz kolejny w życiu doznał uczucia przytłaczającej samotności. Nie miał kolegów, z którymi mógłby spędzać wolny czas, a jakoś nie wierzył w przyjaźń mężczyzny z kobietą. Kobiety były po to, by je kochać lub w ogóle nie zawracać im głowy, a ponieważ nie poznał ostatnio nikogo interesującego, wybierał tę drugą możliwość.

Od dzieciństwa pasjonował się szeroko pojętą kulturą i kiedy tylko mógł, odwiedzał regularnie rozmaite galerie, muzea, wystawy i teatry w Derbachii i pozostałych metropoliach. Nie stronił też od popkultury, bywając w multikinach i centrach rozrywki, połączonych z wielkimi powierzchniami handlowymi. Nie lubił natomiast spędzać wolnego czasu w domu, z kubkiem herbaty bądź butelką piwa w ręce, gapiąc się w telewizor. Ciągnęło go do ludzi, chciał być wszędzie tam, gdzie tworzono wielką, mniejszą i tę całkiem malutką historię nie tylko Sangacji, ale całego kontynentu.

Jeśli podobała mu się samotność, to tylko wśród przepięknej przyrody Kiramu. Panicznie bał się zamknięcia, kojarzącego się mężczyźnie ze spętaniem woli. Chyba dlatego tak bardzo kochał ogromne, rozzłoczone mocnym kiramskim słońcem otwarte przestrzenie, które w typowych mieszczuchach budziły lęk właśnie brakiem

ścian. Jego światem były łąki i sosnowe lasy Entorii, poszarpany masyw gór Peiling na granicy Gardu i Dantu, pomarańczowe gaje Quatessinu, a także ciągnąca się ze wszystkich stron aż po horyzont, porośnięta skąpo ostrą trawą i cierpkimi jagodami równina kenlackiej i skeńskiej tundry.

Ale nawet tam marzył o bliskiej osobie, z którą mógłby dzielić zachwyt cudami natury albo ludzkiego geniuszu. Wiedział, że nie jest i nigdy nie będzie takim Eliminatorem, jakich życzył sobie widzieć marszałek Raszkiewicz, ponieważ nie umiał pokochać samotności.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dopiero dziewiąta. A przecież jeszcze przed chwilą sądził na podstawie szybko zapadającej ciemności, że jest znacznie później. Chyba będzie musiał przyzwyczać się do myśli, że lato zmieniało się we wczesną jesień. A skoro było tak wcześnie, postanowił odwiedzić siostrę, jedyną osobę, do której mógł wpadać niemal o każdej porze dnia i nocy. Matka, odkąd przekroczyła sześćdziesiątkę, zaczęła kłaść się spać punkt dziewiąta i nie życzyła sobie wizyt po tej godzinie, nawet ze strony jedyne go syna.

Siostra Aldorenta mieszkała w jednym z szeregowych domów jednorodzinnych w dzielnicy Mexico, czyli praktycznie na przedmieściu Derbachii. Jej mąż, projektant mebli, zarabiał w ostatnich latach na tyle dobrze, że stać ich było na wynajęcie dużego i stylowo urządzonego dwukondygnacyjnego domu. Miała na imię Alayah. Jadąc metrem, próbował sobie przypomnieć, skąd wzięło się to rzadkie imię. Matka opowiadała wielokrotnie, że ich ojciec miał upodobanie do imion noszonych przez znane i fascynujące go w danej chwili osoby. Kim była kobieta, która oczarowała Fredericka Morrisona do tego stopnia, że postanowił w tak doniosły sposób uczcić jej pamięć? Czy, podobnie jak w przypadku jego patrona, była czynną w polityce Kiramejką, działającą dla wspólnego dobra obu ras, a może głośną w tamtych latach artystką? Nie, chyba nie. Alayah to sangackie imię, bardzo rzadkie wprawdzie, ale jednak sangackie, nie kiramskie.

Wreszcie sobie przypomniał. Alayah di Fasci była pochodzącym z Kolorado politykiem, jedną z niewielu kobiet, którym udało się zająć w obecnym stuleciu tak wysoko. Była nawet przez krótki czas ministrem do spraw kobiet i planowania ro-

dziny. Przez cały długi czas swojej politycznej działalności starała się wzmocnić pozycję kobiety w Sangacji przede wszystkim na rynku pracy i w życiu publicznym, ale także w rodzinie. Pamiętał, że Partia Socjalistyczna miała wtedy większość w parlamencie przez trzy kadencje. Podczas trzeciej i ostatniej Alayah di Fasci domagała się złagodzenia ustawy antyaborcyjnej, co pogrążyło w kolejnych wyborach jej partię, a ją samą zepchnęło na margines życia politycznego. Taki postulat po prostu nie mógł znaleźć uznania w oczach opinii publicznej w czasie, gdy na gwałt zaczęto zwiększać pogłowie Sangacjan, by stanowiło argument w starciu kulturowym z Kiramczykami.

Nie miał pojęcia, co mogło podobać się w niej Frederickowi Morrisonowi, mężczyźnie deklarującemu przywiązanie do tradycyjnych wartości. Chyba jego ojciec podziwiał wszystkich, którzy prowadzili nierówną walkę z uprzedzeniami i fobiami. W jakiś sposób tego człowieka sukcesu ciągnęło do wszelkich klęsk i mielizn. Tak było z feministką Alayah di Fasci, i tak też było z ambasadorem Gondwany o nazwisku Aldorent Neya, próbującym zbliżyć Sangację do Imperium.

A może robił to, by dokuczyć matce. Wybierał na patronów dla ich dzieci postaci, których Frances nie lubiła, a nawet się lękała. Nie wiedział, czemu Frederick mógłby chcieć dokuczyć swojej najdroższej, ślicznej Frances, ale jednak wyrażał w ten ostentacyjny sposób poglądy, których jego żona nie akceptowała. A może rzucał rękawicę całemu skostniałemu społeczeństwu, w świetle dnia broniąc jego fundamentów, a w nocy śniąc o lepszym świecie.

Tak więc jego siostra została Alayah. Już jako nastolatka w równym stopniu nie cierpiała zarówno tego imienia, jak i swojej kontrowersyjnej imienniczki. Kazała zwracać się do siebie po prostu Allie. Tak też zostało i nie pamiętał, by ktokolwiek nazywał ją inaczej. Chyba tylko on jeden zwracał się do niej pełnym imieniem, i to tylko wtedy, gdy chciał się z nią podroczyć.

Dotknął lekko przycisku domofonu i przedstawił się. Wpuszczono go natychmiast. Allie dawno temu zdecydowała, że brat będzie miał zawsze otwarte drzwi w tym domu, chociaż podejrzewał, że jej mężowi niezbyt się to podoba. Przeszedł wąskim chodnikiem wiodącym od bramy od drzwi domu, obawiając się, że Quentin

kupił wreszcie psa. Jednak i tym razem dotarł bezpiecznie do kilku stromych schodków. Światło na ganku zapaliło się automatycznie, gdy tylko fotokomórka zarejestrowała ruch.

Nie musiał dzwonić. Otworzyła mu dwunastoletnia dziewczynka z gładko zaczesanymi do tyłu i zebranymi w koński ogon ciemnymi włosami. Linda, jego siostrzenica. Szturchnął ją żartobliwie w ramię, pytając o postępy w szkole. Wzmianka o nauce zirytowała lekko dziewczynkę, która zaczynała już zauważać chłopców. Na szczęście wuj Aldorent był niezawodny w bezlitosnym sprowadzaniu ją na ziemię, przypominając o młodziutkim wieku i obowiązku szkolnym.

Prychnęła jak rozzłoszczona kotka i uciekła na górę. Pomimo to szedł o zakład, że Linda go uwielbia, podobnie jak bliźniacy. Nikt nie mógł oprzeć się urokowi Aldorenta Morrisona, o ile oczywiście zależało mu na roztoczeniu tego uroku.

Starsza od niego o trzy lata Allie była dość wysoką kobietą o regularnych rysach twarzy, identycznych jak u brata szarych oczach, patrzących przenikliwie, i lśniących ciemnych włosach, które najchętniej nosiła opadające luźno na ramiona. Jako dziewczyna miała doskonałą figurę, teraz, w wieku trzydziestu siedmiu lat, zaczęła zdradzać skłonność do tycia. Odstawiła więc słodkości i zapisała się do klubu fitness, gdzie natychmiast nawiązała kilka nowych przyjaźni. Aldorentowi, który zawsze lubił sport, podobało się jej nowe hobby. Poza tym Allie stała się dzięki klubowi bardziej pewna siebie i przynajmniej od czasu do czasu wychodziła sama z domu, który do niedawna uważała za cały swój świat.

Była w końcu jego siostrą. Przede wszystkim jego siostrą, kimś, kto sypiał w pokoju za ścianą i pomagał wyrosnąć z krótkich spodenek. Nie chciał widzieć jej na kolanach przed jakimkolwiek mężczyzną, nawet w znaczeniu metaforycznym. Przypuszczał, że zabiłby szwagra, a na pewno przynajmniej ciężko poturbował, gdyby tamten odważył się podnieść rękę na Allie. Naturalnie, nic takiego nie miało do tej pory miejsca. Allie i Quentin sprzeczali się dość często, ale nigdy nie dochodziło w ich domu do rękoczynów.

- Cześć – rzucił, całując ją lekko w czoło. Była to jeszcze jedna rzecz, którą lubił w swojej siostrze. Allie była jedyną kobietą, którą mógł całować po przyjacielsku i zupełnie bezkarnie.

- Cześć, Aldo – odparła. – Dobrze, że jesteś. Udało mi się wreszcie namówić Amy, żeby do mnie wpadła. Będziesz mógł ją poznać.

- Co to za Amy?

- Zobacysz – wygięła ładnie wykrojone usta w filuternym uśmiechu.

Poczekwała, aż mężczyzna zdejmie i powiesi w przedpokoju cienką, chroniącą głównie przed wiatrem kurtkę. Zaciekawiony zdjął jeszcze buty, włożył przygotowane specjalnie dla niego kapcie i przeszedł do pokoju dla gości. W fotelu pod oknem siedziała trochę podobna do Allie dziewczyna, znacznie młodsza od jego siostry. Na pierwszy rzut oka ocenił ją na jakieś dwadzieścia trzy, może cztery lata. Obie wróciły właśnie z treningu. Domyślił się tego patrząc na rozpuszczone włosy dziewczyny, jej lekko zarumienioną twarz, zdradzającą jeszcze włożony w ćwiczenia wysiłek, oraz nieformalny, lecz gustowny strój. Pod opiętą, niebieską koszulką zarysowywały się nieduże wprawdzie, ale kształtne i jędrne piersi.

Widząc w drzwiach pokoju nieznanego, atrakcyjnego mężczyznę, dziewczyna najpierw spieszyła się nieznacznie i rzuciła Allie rozpaczliwe spojrzenie, jakby pytając, co powinna teraz zrobić. Siostra Aldorenta natychmiast pospieszyła jej z pomocą, mówiąc głośno:

- Aldo, poznaj moją nową przyjaciółkę Amy. Jest architektem. Bardzo zresztą utalentowanym.

Dziewczyna wstała na chwilę i wyciągnęła w jego kierunku rękę.

- Niech pan jej nie słucha. Jak zwykle przesadza. Amanda Winter.

- Aldorent Morrison. Brat Allie.

Uścisnął małą, miękką dłoń i siadł na kanapie. Starał się prowadzić zwyczajną, niezobowiązującą rozmowę z obiema kobietami, lecz jego spojrzenie wciąż zatrzymywało się na postaci Amandy. Dziewczyna spodobała mu się od samego początku. Kiedy wstawiała, zauważył, że jest niewysoka i drobna. Dokładnie taka, jakie lubił. Trochę żałował, że zdążyła wziąć prysznic jeszcze w klubie. Nie miał nic przeciwko

zapachowi kobiecego potu, czuł się wtedy lekko podniecony erotycznie i natychmiast zaczął fantazjować.

Była szatynką, jak on i Allie. To również mu się podobało. Blondynki raziły go pretensjonalnością, a rudowłosej kobiety nie chciałby teraz spotkać za nic w świecie.

Allie paplała coś jak zwykle o bliźniakach. Była bardzo dumna z Marcela i Tate'a, pary wiecznie roztrzepanych i hałaśliwych, lecz w gruncie rzeczy bardzo kochanych czternastolatków, tak bardzo do siebie podobnych, że tylko matka różniała ich bez trudu. Aldorent nie dziwił się, że Allie całkowicie poświęciła się rodzinie. Oddałby wszystko za bycie ojcem Marcela, Tate'a i Lindy. Jego siostra stworzyła ze swoim Quentinem prawdziwy, pełen ciepła i lojalności dom, podczas gdy on wciąż włóczył się beztrosko po Kiramie.

Wspomnienie tych wszystkich cudownych miejsc na chwilę rozbłysło w jego głowie niczym gwiazda i natychmiast zgasło. Nie, to, co przed chwilą pomyślał, oczarowany tą wspaniałą rodziną, nie było prawdą. Wcale nie oddałby wszystkiego. Nie byłby w stanie zrezygnować z podróżowania, zadowalając się trasą praca-dom. Cieszył się, że jego bliscy lubią taki styl życia, ale on udusiłby się prędzej czy później w tak ciasnym świątku.

Ledwo ją słyszał, skupiony na Amandzie. Spoglądał na dziewczynę ukradkiem, podziwiając jej czystą, gładką skórę, sarnie, lekko wilgotne oczy i smukłą talię. Dlatego odetchnął z ulgą, gdy Allie wyszła na chwilę do kuchni, żeby zaparzyć kolejny dzbanek kawy. Allie zawsze za dużo mówiła i starała się odgrywać rolę duszy towarzystwa. Na szczęście teraz miał Amandę tylko dla siebie.

- Czym się zajmujesz? - spytał. Allie zmusiła już oboje, by mówili sobie po imieniu.

- Pracuję w niewielkim biurze projektowym na Manhattanie. Wiesz, Allie jak zwykle przesadziła. Skończyłam architekturę, ale wcale nie jestem aż tak dobra. Właściwie zupełnie inaczej sobie to wyobrażałam - zaśmiała się, lecz jego uwadze nie umknęła nuta goryczy kryjąca się w tym śmiechu. - Kiedy szłam na studia, miałam głowę pełną wielkich pomysłów. Wiesz, jak to jest, kiedy młody człowiek

zaczyna wymarzone studia. Wydaje mu się, że za kilka lat zawojuje świat swoim talentem i ciężką pracą.

- Dokładnie wiem, co masz na myśli – skinął głową. – Ambicje i oczekiwania młodych ludzi potrafią być naprawdę duże. Powiedziałbym nawet, że wygórowane. Dopiero po kilkunastu nieudanych próbach zdobycia dobrej pracy i kilku latach monotonnej harówki za marne pieniądze ci młodzi ludzie schodzą z chmur na ziemię.

- Śmierć ideałów bywa bolesna – zaśmiała się znów, odsłaniając na chwilę równe, białe ząbki. – Marzyłam o tworzeniu w pocie czoła i z głową ponad chmurami. Chciałam powoływać do życia niezwykle, monumentalne budowle, które przetrwają wieki i wzbudzą zachwyt milionów. Mam już nawet kilka interesujących szkiców. W rzeczywistości jednak pracuję w jakimś podrzędnym biurze i projektuję domy nowobogackim, podobne jeden do drugiego jak krople wody. Ot, mniej więcej takie, jak ten – zatoczyła dłonią łuk. – Zarząd spija całą śmietankę, a ja zarabiam grosze. Zresztą, może za bardzo spieszy mi się do sukcesu. W końcu pracuję dopiero od trzech miesięcy.

- Myślę, że prędzej czy później stworzysz coś naprawdę wspaniałego – powiedział z pełną powagą. Naprawdę czuł uznanie dla młodzieńczego zapału i determinacji Amandy, ale ona potraktowała słowa mężczyzny jak świetny dowcip, po raz kolejny wybuchając śmiechem. Podobał mu się ten dźwięczny śmiech, zaczynał jednak podejrzewać, że dziewczynie trochę brakuje wiary w siebie.

- Czasami obawiam się, że w naszym kraju nie ma miejsca na prawdziwą sztukę – odparła. – Liczą się przede wszystkim walory użytkowe.

- Częściowo masz rację, ale jestem mocno przekonany, że nie da się zabić w człowieku pragnienia piękna. Gdyby to było możliwe, ludzkość już dawno musiałaby wymrzeć z powodu utraty sensu życia. Wszyscy tęsknimy, przynajmniej od czasu do czasu, za czymś, czego nie da się ująć w szereg liczb i logicznie wytłumaczyć.

- A ty? Czym się zajmujesz? – spytała.

- Jestem policjantem. Jak widzisz, czasowo w cywilu.

Wciąż dziwił się, jak gładko to kłamstwo spływa po raz kolejny z jego ust. Dziwił się tym bardziej, im mocniej przekonywał się, jak prędko musi się z niego wycofywać w każdym kolejnym związku. Nic w jego trybie życia nie przypominało pracy policjanta. Może poza ryzykiem. Z tym, że podejmowane przez niego ryzyko było znacznie większe.

Dziewczyna nie była zdziwiona ani zaskoczona. Odparła:

- Mogłam się domyślić. Masz do tego odpowiednie warunki. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że jesteś albo policjantem, albo pracownikiem ochrony.

Zrobiło mu się gorąco od zachwyconego wzroku kobiety, bezwstydnie ślizgającego się po jego umięśnionym ciele. Z drugiej strony te słowa nie do końca mu się spodobały. Było mu trochę przykro, że Amanda szufladkuje go jedynie na podstawie wyglądu. Swego czasu marzył o karierze naukowca. Pewnie i tak nie uwierzyłyby. Dla niej naukowcy byli najprawdopodobniej starszymi, łysawymi panami w grubych okularach i z naręczem książek pod pachą.

Swoją drogą, zbyt często wydajemy o ludziach pochopne sądy na podstawie ich fizyczności, pomyślał. Gdyby nie wiedział, że Amanda jest architektem, przypuszczaliby, że zajmuje się sprzedażą perfum lub drogich ubrań.

- Masz kogoś? - spytał. Nie chciał tracić czasu, w każdej chwili mogła wrócić Allie. Strasznie kochana, ale nieco pruderyjna siostra Aldorenta z pewnością uznałyby, że na takie pytanie jest zdecydowanie za wcześnie.

- W tej chwili nie. Spotykałam się z paroma mężczyznami, ale każdy z nich okazywał się w końcu nieodpowiedzialnym szczeniakiem. Mam wrażenie, że mężczyźni dojrzewają coraz później. To chyba skutek konsumpcyjnego stylu życia.

Podobała mu się jej szczerłość i otwartość. Właśnie takie kobiety lubił. W jego wieku niechętnie traci się czas na podchody i umizgi typowe dla nastolatków.

- Chciałbym spotkać się z tobą na neutralnym gruncie. Gdzieś, gdzie oboje będziemy mogli się rozluźnić i trochę lepiej poznać. Powiedzmy, w jakiejś dobrej knajpce. Co ty na to?

- Doskonały pomysł – jej oczy rozbłysły na chwilę z radości. Pewnie czekała na tę propozycję jak na gwiazdkę z nieba, nie mogąc wyjść z nią pierwsza. Musiała należeć do tego typu kobiet, które nigdy nie przejmują inicjatywy, pozostawiając uwodzenie męskiemu rodowi. – Przypuszczam w takim razie, że ty również jesteś chwilowo wolny.

- Nie mogłaś ująć tego lepiej. Chwilowo. I mam nadzieję, że będzie to bardzo krótka chwila. Daj mi swój numer telefonu, dobrze? Zadzwoń na pewno.

Odpiął kieszeń bluzy, wyjął komórkę i wstukał jej numer. Kiedy Allie wróciła z kolejną porcją aromatycznego napoju, natychmiast podejmując nieśmiertelny temat dzieci, telefon spoczywał już, wraz z cenną informacją, w bezpiecznym schowku. Aldorent i Amanda popatrywali na siebie od czasu do czasu tym szczególnym spojrzeniem dwojga ludzi, którzy ukrywają coś przed resztą świata. Pewnie Allie nie miałyby nic przeciwko ich związkowi, pomimo to Aldorent nie chciał jej pośrednictwa. Zawsze zdobywał swoje kobiety samodzielnie.

Odczekał dla przyzwoitości całe trzy dni, a potem zadzwonił. Amanda bez wahania zgodziła się na spotkanie. Przypuszczał, że dziewczyna czekała na ten telefon z niecierpliwością, przygotowując się w myślach na pierwszą randkę z nowo poznanym mężczyzną.

Spotkali się w otwieranym dopiero w późnych godzinach wieczornych klubie „Centuria” w dzielnicy, która w Derbachii mogła uchodzić za starówkę. W każdym razie w tej okolicy prowadzili interesy detaliści, sprzedający w małych sklepikach to, czego próżno byłoby szukać w wielkich centrach handlowych. Przyciągali w ten sposób turystów z innych miast, włączając w to Polinię, a także odwiedzających metropolię Kiramczyków. Minął dwa antykwariaty i sklep z robioną ręcznie biżuterią, a potem zszedł po schodkach do wielkiej, poprzedzielanej kolumnami, zastawionej stylizowanymi na średniowieczne ławy stołami sali. Siedzieli przy nich młodzi w większości ludzie, już nieźle wstawieni, palący bez skrępowania tytoń i prowadzący żywe dysputy. To właśnie tutaj najchętniej spędzali wolny czas studenci

Politechniki Derbachijskiej, dlatego założył, że miejsce to nie będzie obce dla Amandy.

Nie przypuszczał, by dziewczyna kiedykolwiek paliła papierosy bądź piła alkohol w ilościach, w jakich zwykle pija się go w otwartych do białego rana klubach studenckich. Wydawała mu się zbyt subtelna na takie rzeczy. Pewnie zaraz po zajęciach wracała do domu, by znów ślęczyć nad książkami i projektami, ignorując złośliwe docinki ze strony członków rodziny. Zawsze najlepiej przygotowana do egzaminu, zawsze siadająca na wykładach w pierwszym rzędzie, by nie uronić ani słowa z tego, co mówił profesor. I zawsze spotykająca się z niewłaściwymi mężczyznami.

Tak wyobrażał ją sobie Aldorent, czekając na dziewczynę przy jedynym wolnym w chwili jego przyjścia stoliku, na dodatek w najodleglejszym od głównego wejścia kącie. Starał się nie zwracać uwagi na hałaśliwą muzykę i papierosowy dym. Bał się, że w ciemności nie zauważy jej drobnej sylwetki, jednak szczęście mu dopisało. Amanda powiedziała przez telefon, że musi tego dnia zostać w pracy do późna, by dokończyć jakiś szczególnie ważny projekt, nie zdąży więc wpaść przed spotkaniem do domu, by się przebrać.

Przyszła do klubu w stroju, który zwykle nosiła do pracy. Tak ubrana mogła przemknąć niezauważona w tłumie, nie przyciągając ani jednego spojrzenia. Gładko zaczesane do tyłu i zebrane w kok włosy idealnie komponowały się z białą bluzką i szarym kostiumem o klasycznym kroju, podkreślającym jej wąską talię. Założyła delikatną, srebrną biżuterię bez dodatków, która również nie rzucała się w oczy. Całości obrazu dopełniała duża brązowa torba z miękkiej skóry. Dziewczyna bez problemu mieściła w niej dokumenty, nad którymi chciała popracować w domu. Dobrze, że przynajmniej nie kazali jej nosić laptopa, pomyślał.

Znali się zbyt krótko, by mógł przywitać ją choćby przyjacielskim pocałunkiem, uścisnął więc dłoń Amandy tak samo, jak przy pierwszym spotkaniu u Allie. Dotykając lekko jej ramienia, pokierował nową znajomą ku zajętemu przez siebie stolikowi. Dopiero teraz zauważył, że źle ocenił za pierwszym razem jej wzrost. Amanda była po prostu filigranowa. Mogła mieć niewiele ponad półtora metra wy-

sokości, co w połączeniu z jego stu dziewięćdziesięcioma centymetrami dawało komiczny efekt. Mógłby nosić ją na barana jak małą dziewczynkę. Z reguły wybierał sporo mniejsze od siebie partnerki, ale tym razem zwyczajnie przeholował. Spróbował wyobrazić sobie minę i komentarz Williama Blacka, i skrzywił się kwaśno w ciemności. Wiedział, że idąca przodem Amanda nie dostrzeże tego grymasu.

Postanowiła sięść nie naprzeciwko niego, ale tuż obok, po prawej ręce mężczyzny. Odsunął jej krzesło. Wiedział, że wybór Amandy ma podłoże przede wszystkim praktyczne – musieli siedzieć blisko siebie, by móc rozmawiać w ogłuszającym hałasie – ale i tak był zadowolony. Poczł subtelną woń jej perfum. Nic ekstrawaganckiego, klasyczna kwiatowa kompozycja. Miał nadzieję, że przynajmniej na większe wyjścia dziewczyna wybiera coś bardziej odważnego.

Nie chciała alkoholu, więc zamówił dla niej kawę. Sam pił powoli duże piwo. Miał zamiar odwieźć potem Amandę taksówką do domu, a następnie kazać się wieźć na Słoneczne. W końcu i tak za wszystko płaciło ZSS, a więc budżet państwa.

Wrzuciła do filiżanki dwie kostki cukru w kształcie serduszek, a potem mieszała powoli napój łyżeczką, nie patrząc na Aldorenta i nie odzywając się do niego. Domyślił się, że dziewczyna czeka, by to on zaczął rozmowę, zapytał więc:

– Jak minął dzień w pracy?

– Ciężko – odparła z uśmiechem, który miał w sobie coś męczeńskiego. – Klient dzwonił aż dwa razy, przypominając o projekcie, który miał być gotowy na wczoraj. No wiesz, facet chce załatwić wszystkie formalności związane z hipoteką i musi mieć wszystko zapięte na ostatni guzik. Christine od dwóch dni leży w łóżku z ostrym przeziębieniem, więc cała robota spadła na mnie. Na szczęście jakoś udało mi się wykończyć szkic przed zamknięciem biura.

– To cudownie – odpowiedział, dotykając przelotnie palcami jej dłoni. Miała gładką i delikatną skórę. Spróbował wyobrazić sobie gładkość tej skóry na brzuchu i piersiach. Na te sprawy musiał jednak jeszcze trochę poczekać. Zakładał, że Amanda, jako osoba wykształcona i znająca swoją wartość, nie należy do łatwych kobiet.

– Szef chodził przez to wszystko zły jak gradowa chmura. Gdybym się nie sprężyła i nie skończyła pracy na czas, mogłoby mi się nieźle oberwać. Wiesz, ja tak

mam właściwie na okrągło. Ciągłe nerwówka i gonitwa. Ta praca jest bardzo wyczerpująca. Albo wkrótce znajdę coś lepszego, albo zrujnuję sobie zdrowie. Chyba nie jestem stworzona do wyścigu szczurów.

- Mówiłaś, że zależy ci na projektowaniu. Że chciałabyś tworzyć wiekopomne dzieła. Pomyślałem więc, że to lubisz.

- Bo lubię. Tylko... - dziewczyna przez chwilę szukała w skupieniu słów, którymi mogłaby najlepiej przekazać mu to, co czuła. - Tylko że nie tak to sobie wyobrażałam. Myślałam, że będę mogła pracować w spokoju i całkowicie poświęcić się projektowaniu. Tymczasem równie ważne, a może nawet ważniejsze, jest zdobywanie i utrzymanie klienta, a ja zupełnie nie znam się na marketingu. Czasami wydaje mi się, że zupełnie nie znam się na ludziach. To właśnie dlatego wybrałam architekturę. Lubię obmyślać szkice i przenosić je na papier, a potem do komputera. Wolę pracować w samotności niż zespołowo, rozumiesz. A w tej firmie tak się nie da.

Pomyślał, że oprócz wyglądu jego siostrę i Amandę łączy coś jeszcze. Obie mówią za dużo i zbyt szczerze. Kobieta próbująca podbić serce mężczyzny musi być bardziej tajemnicza. Powinna skrywać swoje prawdziwe myśli za zasłoną półśłówek i wymijających uśmiechów. Tymczasem Amanda traktowała go jak psychoterapeutę, któremu można się wyzalić ze wszystkich niepowodzeń i rozczarowań.

Do pewnego stopnia sam był sobie winien. Skoro pytał o jej pracę, ona odpowiadała.

- Może powinnaś zacząć przeglądać ogłoszenia w Matrixie - zasugerował. - Skoro chcesz znaleźć lepszą pracę, musisz trzymać rękę na pulsie.

- Pewnie masz rację. Czasami myślę, że powinnam jak najszybciej wyprowadzić się z domu. Nie mogę już znieść głądzenia rodziców. Przede wszystkim ojciec nie daje mi spokoju. Mówi, że zamiast przesiadywać całymi dniami w biurze, powinnam rozejrzeć się za odpowiednim mężczyzną. Nie jestem już młodzieńką i mój zegar biologiczny zaczyna tykać coraz bardziej niespokojnie.

- Ile masz lat?

– Dwadzieścia pięć. To dość zaawansowany wiek dla niezamężnej kobiety, nie uważasz? Niedługo ludzie zaczną mówić mi prosto w oczy, że jestem starą panną.

– Nie przesadzaj. Jesteś bardzo młoda i ładna. Masz jeszcze czas na zamążpójście.

W duchu jednak przyznawał jej rację. Allie urodziła bliźniaków w wieku dwudziestu trzech lat. Jego matka urodziła Allie mając dwadzieścia cztery lata. Amanda była akurat w tym wieku, gdy kobieta powinna pomyśleć o pierwszym dziecku. Dobrze rozumiał jej niepokój. W społeczeństwie nastawionym na dynamiczny wzrost demograficzny kobieta, która nie rodziła, była uważana za bezwartościową, niezależnie od jej osiągnięć w innych dziedzinach.

– Skądże znowu. Robię się coraz starsza. Niedługo nie będę mogła rodzić. Nie mam już wiele czasu, Aldorencie.

Cichy alarm zabrzączał gdzieś w tyle jego głowy. To nie była zwyczajna randka. Ta dziewczyna ani nie stosowała się do sztuki uwodzenia, ani nie próbowała przekuć tej świeżej znajomości w dobrą, solidną przyjaźń. Chyba wiedział już, dlaczego się z nim umówiła. Podobałby się jej pewnie każdy, kto nosił spodnie, był chwilowo wolny i nieźle zarabiał.

Znów postanowił jej zaprzeczyć, chociażby z przekory.

– Masz mnóstwo czasu. Medycyna poczyniła w ostatnich kilku stuleciach ogromne postępy. Niektóre kobiety rodzą bez komplikacji nawet po czterdziestce.

– Ale ja nie mam zamiaru czekać tak długo. Bardzo chcę jak najszybciej założyć rodzinę. Praca to dobra rzecz, ale sama praca nie daje szczęścia. Życie bez najbliższych nie jest warte funta kłaków. Nie ma niczego gorszego niż wieczorne powroty do pustego domu. Na razie mieszkam z rodzicami, ale oni kiedyś umrą. Nie chcę zostać sama na starość.

Nie mógł tego zauważyć przy pierwszym spotkaniu. Zamiast z nim żartować i starać się zawrócić mu w głowie, ona zamartwiała się na zapas z powodu śmierci rodziców i własnej starości. Poczł gwałtowną chęć, by wybiec z klubu i nigdy nie wrócić.

– Wiesz, czym się zajmuję? – zapytał dość oschłym tonem. Chyba nawet przesadził z tą oschłością.

– Jesteś policjantem.

– Otóż nie, Amando.

Postanowił, że powie jej prawdę już teraz. Nie czuł lęku przed odrzuceniem, który zwykle towarzyszył w jego przypadku temu wyznaniu. Przeważnie wywoływało ono u potencjalnych partnerek szok znacznie większy niż informacja o liczbie miłosnych przygód mężczyzny. Ale tym razem szczerłość sprawiała mu gorzką satysfakcję. Nie był najlepszym kandydatem na męża i ojca, i ona powinna jak najszybciej się o tym dowiedzieć. Łatwiej osiągnęłaby swój cel, gdyby zaczęła rozglądać się za wracającymi regularnie z pracy o siedemnastej księgowymi.

– Otóż nie – powtórzył. – Na pewno słyszałaś o Zbrojnych Siłach Sangacji.

– Pewnie, że tak – skinęła głową. – To jakieś skrzydło armii, prawda?

– To najbardziej elitarna jednostka wojskowa w tym kraju – odparł surowo. Robił to z rozmysłem, pragnąc wywołać w niej podziw i jednocześnie respekt. – A ja należę do najbardziej elitarnego oddziału w tej jednostce. Słyszałaś o Eliminatorach?

– Tak, ale... Ale przecież to mit. Oni nie istnieją.

– Istnieją, Amando. Właśnie masz przed sobą jednego z nich. Chwilowo w cywilu.

Chciało mu się wycić ze śmiechu. Właśnie dowiadywał się od tej laluni, że on, Aldorent Morrison, nie istnieje. Miał teraz ochotę droczyć się z nią do upadłego.

– Zaręczam ci, że Eliminatorzy istnieją. Jeśli do tej pory żadnego nie spotkałaś, możesz uważać się za szczęściarę. Gdyby jeden z nich zainteresował się tobą zawodowo, nie musiałabyś martwić się dłużej ani o atmosferę w pracy, ani o założenie rodziny. O wiele ważniejsza stałaby się nagle dla ciebie kwestia życia pozagrobowego.

– Ale... dlaczego mi to mówisz?

Gdy tak patrzył na jej zmartwioną minę, zrobiło mu się żal Bogu ducha winnej dziewczyny. Może nie powinien być aż tak uszczypliwy. Przechodząc na znacznie łagodniejszy ton odparł:

- Ponieważ chcę, abyś wiedziała, że to nie jest zwykła praca. Nie taka od dziewiątej do piątej. Jestem dobry w tym, co robię, miałem też do tej pory sporo szczęścia i dlatego wciąż żyję. Ale tak, jak ja eliminuję tych, których powinienem, tak ja mogę zostać pewnego dnia wyeliminowany przez kogoś lepszego albo sprytniejszego ode mnie.

- Co to znaczy – eliminujesz? Co konkretnie robisz?

Wyczuwał jej nagły niepokój równie wyraźnie jak woń perfum. Ale skoro już na tym etapie znajomości rozważali możliwość założenia rodziny, musiał być z nią całkowicie szczery.

- Zabijam, Amando. Eliminować znaczy zabijać.

- Ale kogo zabijasz? Zajmujesz się zabójstwami na zlecenie?

- Owszem. Tyle że zleceniodawcą jest państwo sangackie.

- Państwo każe zabijać ludzi? Myślałam, że państwo jest od tego, by zagwarantować każdemu obywatelowi prawo do życia.

Mogłaby dodać „od poczęcia do naturalnej śmierci”. Dałaby jeszcze bardziej dobitny dowód swojej naiwności i nieznajomości świata.

- Nie seryjnie, oczywiście – tłumaczył. - Nie eliminujemy jednostek, które są dla bytu państwa bez znaczenia. Nie interesujemy się mróweczkami truchtającymi dzień po dniu do swoich zajęć. Usuwamy tych, którzy próbują rozsadzić system od środka. Tych, którzy chcieliby zmienić oblicze tego kraju. Tych, którzy krzyczą zbyt głośno o prawach mniejszości. Tych, którzy nie powinni żyć choćby chwili dłużej. Chociażby Kiramczyków, którzy dopuścili się zbrodni na obywatelach Sangacji. Powiedziałem ci już zbyt wiele, ale chcę, byś dobrze pojęła specyfikę mojego zajęcia. Nie jestem pospolitym mordercą.

To ostatnie zdanie powtarzał bez końca sam sobie. Powtarzał je w duchu każdego ranka, licząc na to, że kiedyś w nie uwierzy.

- W takim razie dlaczego to robisz?

- Chcę podróżować. Większość zawodów nie daje takiej możliwości. Siedzisz w biurówcu i nie wolno ci wystawić z niego nosa bez pozwolenia szefa. Podróże to moja pasja. Nie zrezygnuję z niej po ślubie ani nawet wtedy, gdy na świat przyjdą dzieci. To jest kolejna rzecz, o której musisz wiedzieć już teraz. Przeciwnie, zrobię wszystko, by naszczepić zarówno w tobie, jak i w naszych dzieciach moją miłość do Kiramu. Nie zamkniesz mnie w Sangacji. Jeśli spróbujesz, będzie to koniec naszego związku.

- Przecież mógłbyś pilotować wycieczki. Albo objąć posadę ambasadora. Bardzo łatwo ją zdobyć, bo nie ma chętnych na zagraniczne wyjazdy. Jeśli dla ciebie jest to pasją, MSZ przyjmie cię z pocałowaniem ręki. Albo zająć się badaniem kultur Kiramu.

Ledwo pohamował grymas nagłego bólu. To ostatnie mogła sobie odpuścić. Badania nad kulturami Kiramu były jego młodzieńczym marzeniem, które nigdy nie miało się spełnić, ponieważ matka bezlitośnie sztychła z jajogłowych, obrzydza-
jąc mu skutecznie karierę akademicką. Opowiedział jej więc o ojcu, który również był Eliminatorem i zginął chwalebłą śmiercią pod gruzami jednego z wysokościo-
wców. Opowiedział o matce, która nalegała, by jedyny syn poszedł w jego ślady. Która powtarzała mu bez końca, że nie będzie prawdziwym mężczyzną, dopóki nie dorówna ojcu.

- Dlatego tkwię w tym po uszy – zakończył. – Myślisz, że kocham zabijanie? Ale teraz nie mam już odwrotu. Każdy Eliminator składa przysięgę wierności i posłuszeństwa. To nie jest zawód, który można zmienić w każdej chwili. Mam znacznie gorzej niż taki chociażby ksiądz. Nikt nie będzie strzelał do księdza, który zrzuci sutannę, co najwyżej ludzie będą wytykać go palcami. Gdybym ja zrzucił moją „sutannę”, nie pożyłbym długo.

- Mówisz takie straszne rzeczy – szepnęła żałośnie, znów wpatrując się w prawie pustą filiżankę.

- Mówię to, co musisz wiedzieć, jeśli chcesz się ze mną związać. Znamy się bardzo krótko i klamka jeszcze nie zapadła. Możesz wycofać się w każdej chwili. Nie będę miał do ciebie żalu.

- Nie przeszkadza mi twoja praca. Każdy musi z czegoś żyć.

Kariera w Zbrojnych Siłach Sangacji nauczyła go szybkiego i skutecznego rozgryzania ludzkich charakterów. Dziewczyna była opętana swoim pragnieniem. Poszłaby natychmiast do ołtarza z każdym, kogo mogłaby pokazać bez wstydu na rodzinnym zjeździe.

A jednak odwiózł ją tego wieczoru do domu i umówił się z nią na kolejne spotkanie. Może była dla niego wybawieniem w równym stopniu, w jakim on był wybawieniem dla niej. Może również cierpiał na ten rodzaj desperacji, który sprawiał, że umówiłby się z każdym, kto nosił spódnicę i miał parę piersi z przodu tułowia. Tak, zrobiłby to nawet wbrew rozlegającemu się głośno w jego głowie dzwonkowi alarmowemu.

Ponieważ on też pragnął jak najszybciej założyć rodzinę. W końcu jego matka nalegała na coś jeszcze oprócz kariery w ZSS. Chciała niańczyć wnuki noszące nazwisko Morrison i znów tylko on mógł spełnić jej marzenie.

A może pragnął tego dla siebie. Nie dla nikogo innego.

Od tej pory zaczął regularnie odbierać ją z pracy i wozić na treningi. Spędzał z Amandą każdą wolną chwilę, odkrywając wkrótce, że dziewczyna, o ile tylko zdołała się rozluźnić i po prostu dobrze bawić, jest niezwykle inteligentną i dowcipną towarzyszką. Miała rozległą wiedzę z wielu dziedzin życia, nie wyłączając zagadnień *stricte* technicznych, zwyczajowo zarezerwowanych dla mężczyzn. Fakt, że była to wiedza czysto teoretyczna, wcale mu nie przeszkadzał. Interesowała się żywo polityką Sangacji i zawsze była chętna do dyskusji na aktualne tematy. Rozmowy te niekiedy przeradzały się w burzliwe sprzeczki, gdy usiłował jej wytłumaczyć, że rzeczywistość, ta zakulisowa, nie zawsze wygląda tak, jak pokazują ją środki masowego przekazu. Amanda była nieprawdopodobnie prostolinijna i pewnie dlatego przyjmowała za dobrą monetę każde kłamstwo polityków. Nie chciała znać brutalnej prawdy o ludziach, więc broniła się przed nią wszelkimi siłami, podtrzymując wykreowany na własny użytek dobry obraz świata.

Po kilku tygodniach znajomości nawet jej niski wzrost przestał mu przeszkadzać. Przywykł do faktu, że partnerka nosi głowę na wysokości jego pachy, w taki sposób, w jaki ludzie przywykają prędzej czy później do wszystkiego. Lubił zapach rozpuszczonych, świeżo umytych włosów Amandy, w które często wtulał twarz. Jej bliskość stanowiła bezpieczną przystań w świecie, w którym można kupić wszystko, nawet miłość. Brał ją na kolana jak dziecko i długo, namiętnie całował małe usta dziewczyny, szepcząc słowa miłości, aż brakowało jej tchu. Niczego więcej na razie od niej nie żądał, odsuwając spełnienie daleko w przyszłość.

Tylko do jednego nie umiał się przyzwyczaić. Amanda miała swoje trudne chwile, gdy zamykała się w sobie jak ślimak w skorupie i nie odzywała się do niego całymi godzinami. Działo się to z reguły wtedy, gdy zaczynała myśleć o swoim wieku i o dziecku, którego pragnęła coraz mocniej. Robił wszystko, by wyciągnąć ją z tego stanu. Drażnił się z nią, dowcipkował, łaskotał wargami jej szyję, byleby tylko zapomniała o swoim smutku. Ale ona odsuwała mężczyznę niecierpliwym gestem i wzdychała boleśnie, niezdolna w takiej chwili do odczuwania radości. Wreszcie poddawał się i zajmował czymś innym, czekając, aż dziewczyna wróci do świata żywych.

Poznał jej rodziców, którzy natychmiast zachwycili się Aldorem w sposób tak ekstremalny, niemal bałwochwalczy, że zbiło go to z tropu. Ta sympatia nie miała wiele wspólnego z jego osobą. Ci ludzie desperacko pragnęli wydać najmłodszą córkę jak najszybciej za męża, chcąc oszczędzić sobie i jej wstydu staropanieństwa. To od nich Amanda musiała przejąć nawyk zamartwiania się swoim aktualnym stanem cywilnym. Alarm znów odezwał się z całą mocą w głowie Eliminatora. Pomijając już krzywdę, jaką wyrządzali w ten sposób córce, nie chciał być niczym rozplodowym ogierem. Jego uczucia i intymność, którą dzielił z Amandą, powinny pozostać prywatną sprawą tylko i wyłącznie ich dwojga. Tylko oni mieli prawo układać dla siebie przyszłość. Nienawidził rodzinnych zjazdów, na których omawiano po kolei sercowe perypetie każdego z członków rodziny i porównywano ilość dzieci.

A jednak zdarzało się Aldorentowi odczuwać dumę z powodu tak daleko idącej zmiany w jego życiu. Na przykład wtedy, gdy przedstawił Amandę jako swoją narzeczoną matce, siostrze i szwagrowi. Ich uznanie dodawało mu skrzydeł, nawet jeśli usilnie bronił się przed tym uczuciem. Postąpił w hierarchii społecznej o krok wyżej i nie zamierzał na tym poprzestać.

Pracował w tym okresie normalnie, często wyjeżdżając z Sangacji. Czasami nie było go w domu przez tydzień, czasami nawet dwa. Bardzo tęsknił za Amandą i wysyłał jej niemal bez przerwy wiadomości, korzystając z przyznanej mu łączności satelitarnej. Rozłąka wzmagала ich wzajemne pożądanie. A jednak wziął wszystkie zagraniczne misje, chociaż z niektórych mógł zrezygnować. Strach przed zamknięciem okazywał się silniejszy niż pragnienie bycia z Amandą. Wystarczała mu miłość na telefon i słodka tęsknota. Gdyby musiał ograniczyć wyjazdy, bardzo prędko miłość do dziewczyny stałaby się głęboką i jadowitą nienawiścią. Może taka postawa świadczyła o jego niedojrzałości emocjonalnej. Nie zaprzeczał nawet sam przed sobą tej ewentualności, a jednak nie zamierzał niczego zmieniać.

Pewnego długiego, zimowego wieczoru zawiózł Amandę po raz pierwszy do swojego mieszkania. Powiedział jej na samym początku znajomości, że mieszka sam. Oboje byli dorośli i wiedzieli, co zdarzy się tej nocy. A przecież oboje tego pragnęli i zdawali sobie sprawę, że taka jest naturalna kolej rzeczy, gdy mężczyzna i kobieta zamierzają żyć razem.

Przygotował dla niej lekką kolację, a na deser podał ciasto, które przywiozła mu Allie. Pili potem w milczeniu kawę, nagle dziwnie onieśmieleni, przygotowując się w myślach do ważnej chwili. Wreszcie pochylił się nad dziewczyną, wziął ją na ręce jak lalkę, zaniósł do sypialni i położył delikatnie na łóżku. Nie potrzebowali słów. Perfekcyjnie odgrywali swoje odwieczne i niezmiennie role biorącego w posiadanie i oddającej się. Ściągnął przez głowę golf i podkoszulek, pozwalając Amandzie wodzić małą dłońią po swoim ciele. Rozpakowywał ją jak cenny podarunek, całował jej białą skórę najdelikatniej jak potrafił. Odpięła mu ciężką sprzączkę paska, pomogła zdjąć spodnie i bokserki. Kiedy był już gotowy, a ona całkowicie naga i pragnąca połączenia, przypomniał sobie po raz kolejny o drobnej figurze partner-

ki. Trochę obawiał się, że sprawi jej ból swoim dużym przyrodzeniem. Tak się jednak nie stało, Amanda była równie głęboka jak wyższe kobiety.

Nie musiał zakładać prezerwatywy, bo Amanda nosiła na stałe jakąś spiralkę, jakby chciała być przez cały czas gotowa na przyjęcie mężczyzny swojego życia. Leczeli potem w swoich objęciach, spoceni i zaspokojeni, a on całował jej włosy i mówił, jaka jest cudowna. Teraz nie mieli już odwrotu. Miłosny akt związywał ich ze sobą mocniej niż jakiekolwiek ustne deklaracje, mocniej niż aprobata i błogosławieństwo obu rodzin.

W kilka dni później zaproponował jej w samochodzie, żeby się do niego wprowadziła. Zareagowała radośnie jak nastolatka, chwytając kochanka za ramię i wieszając się na jego szyi. Odsunął ją delikatnie, przytrzymując trochę mocniej kierownicę, i odparł:

– Znasz zasady. Nie będę mógł być z tobą przez cały czas. Wiesz, w jaki sposób żyję. Wiele razy będziesz zasypiać i budzić się sama.

– Jestem cierpliwa, Aldo – odpowiedziała ze swoim dziecięcym entuzjazmem. Mógłby przysiąc, że w tej chwili przemawia przez nią nie tylko miłość, ale także, a może przede wszystkim, jej przemożne pragnienie jak najszybszego wtopienia się w poważny związek. – Będę prowadzić ci dom, czekać z obiadem i podlewać kwiaty, a kiedy załatwisz wreszcie te swoje ważne sprawy i wrócisz do mnie, przez cały wieczór nie wypuszczę cię z objęć.

– Nie przesadzaj, Amy.

Powiedział to z uśmiechem, lecz nagle zdał sobie sprawę, że Amanda nie żartuje. Po raz kolejny poczuł zaciskającą się coraz mocniej wokół szyi pętlę. Ale pewnie taką cenę musi się płacić za posiadanie rodziny. Skoro tak właśnie musi być, nie będzie z tym walczył. Na pewno uda mu się wyrąbać sobie sporą osobistą przestrzeń, zasłaniając się służbowymi wyjazdami.

Wprowadziła się do niego na trzeci dzień. Spakowała rzeczy w kartonowe pudełka, a on przewiózł je samochodem. Od tej pory mieszkali razem. Wracała z pracy – lub przywoził ją, jeśli akurat był w Derbachii – i natychmiast brała się za gotowanie obiadu. Krzątała się przez cały czas po domu, wycierając każdy mikroskopijny

pyłek i układając po raz setny te same rzeczy. Właściwie wolałby, aby nie przesta-
wiała ciągle jego książek, które ustawił tak, jak według niego powinny stać, zaraz
po tym, jak je kupił. Wolałby, aby zrezygnowała z ogromnej ilości koronkowych
bibelotów, rozkładanych na każdym skrawku wolnej i zajętej powierzchni. Nie lubił
sztucznych kwiatów, uważając je za pretensjonalny wytwór miejskiej kultury. Wo-
lał mieć w domu świeżo ścięte, prawdziwe kwiaty lub żadne. Ona oczywiście lubiała
te sztuczne, a ponieważ uważała, że urządzenie domu należy do kobiety, nie chciał
sprawiać jej przykrości.

Wolałby, aby mniej sprzątała, gotowała i piekła, a więcej z nim rozmawiała.
Nie miał nic przeciwko szkicom Amandy, które kreśliła późnymi wieczorami na
kredowym papierze z szeroko otwartymi oczami i ustami, odpływając zupełnie.
Gdyby nie miała żadnej pasji, nie umiałby jej kochać. Gdyby potrzebował jedynie
gosposi, wynająłby ją. Był dość majętny, by kupić sobie usługi pomocy domowej.
Jeżeli tego nie robił, to między innymi dlatego, że nie chciał, by ktokolwiek prze-
grzebywał jego rzeczy. Umiał robić to wszystko, co robi się w domu. Miał dwie
sprawne ręce, a fakt, że był mężczyzną, nie czynił z niego osoby niezaradnej. Na
razie nie umiał znaleźć słów, którymi mógłby jej to wytłumaczyć.

Czasami odwiedzała ich Allie z Quentinem i dziećmi, albo któreś z rodzeństwa
Amandy. Miała kilka przyjaciółek, które lubiała zapraszać na pogawędki. Czasami
składali rewizyty. Amanda była domatorką i poza klubem fitness nie odwiedzała
regularnie żadnych miejsc. Dlatego zabierał ją tak często, jak tylko było to możliwe,
w swoje ulubione miejsca. Pokazywał jej zgromadzone w galeriach skarby sangac-
kiej sztuki, wyciągał do kina i do teatru, zamawiał stoliki w dobrych restauracjach.
Wciąż odnosił przy tym wrażenie, że ona wolałaby spędzić wieczór w domu, oglą-
dając ulubiony serial.

Nie poddawał się jednak, ponieważ nie interesowała go samotność we dwoje.
Jeśli miał to być autentyczny związek, a nie tylko wymiana usług, musiał dzielić się
z Amandą każdą ważną dla niego sprawą. Na razie zgadzała się na większość jego
propozycji, odrzucając za każdym tylko jedną. Nie chciała zobaczyć Gór Kenlackich.

Prawdę mówiąc, nie chciała oglądać niczego za zwieńczonym kolczastym drutem, podpiętym do elektryczności ogrodzeniem.

Aldorent od wczesnej młodości uwielbiał malarstwo. Nie miał talentu plastycznego i nigdy nie próbował samodzielnie malować ani szkicować. Wystarczało mu przeglądanie albumów ze słynnymi obrazami oraz odwiedzanie miejsc, w których mógł podziwiać je na żywo. Wkrótce znał wszystkie galerie i muzea w całej Sangacji. Gdy kończył szkołę średnią, dowiedział się, że wszystkie obrazy, które kochał, zostały namalowane w trzech pierwszych stuleciach istnienia państwa sangackiego. Odkrycie to nappełniło go smutkiem. W czasach, w których żył, rodzili się jeszcze pasjonaci, którzy parali się tradycyjnym malarstwem, jednakże sztuka ta została zepchnięta na margines. Sztalugi, palety i farby kupowało się w sklepach ze starociami, a tych, którzy poświęcali się tej pracy, traktowano jak nieszkodliwych dziwaków.

Wraz z postępowaniem techniki furorę zrobiły natomiast fotografia i grafika komputerowa. W liczących się galeriach wystawiano prace współczesnych mistrzów, stworzone tymi dwoma technikami. Dopatrzył się także w tych rodzajach sztuki pewnego piękna, ale w głębi ducha nie potrafił pogodzić się ze śmiercią prawdziwego malarstwa. Właśnie dlatego tak bardzo lubił sztukę Kiramu. Kiramczycy, w niektórych prowincjach opóźnieni technologicznie w stosunku do Sangacji o kilkaset lat i wcale nie chcący tego opóźnienia nadrabiać, wciąż rozwijali malarstwo w najbardziej tradycyjnej formie. Gardzili abstrakcją, skupiając się za to na jak najwierniejszym odwzorowaniu otaczającego ich świata.

Sangacjanie odcinali się od twardej rzeczywistości, zamieniając sztukę w festiwal fantastyki. Kiramczycy wciąż byli mocno osadzeni w realnym świecie. Może działało się tak, ponieważ ich rzeczywistość nie raniła równie mocno. Nie musieli szukać przed nią ucieczki.

W szczególności pokochał malarstwo dalekiego Południa. Artyści z Pontu, Trajsji, Marengetty i Barbuany, ale przede wszystkim z Quatessinu, dawali mu dokładnie to, czego szukał w obrazach: wierność prawdzie połączoną z potęgą marzenia.

Południowcy nie próbowali eksperymentować ani z treścią, ani z formą. Wciąż nakładali na płótno stare, dobre olejne farby, produkowane z mineralnych barwników. Zrozumienie, czym jest wydruk cyfrowy, sprawiłoby im niemałą trudność.

Dlatego, odkrywszy w Detroit Galerię Kiramską, natychmiast się w niej zakochał. Miejsce to mieściło się na czwartym piętrze całkiem przeciętnego biurowca, na drugim poziomie powyżej gruntu. Organizowano tam wystawy prac artystów z całego Imperium, połączone ze sprzedażą obrazów. Zakładał, że prowadzący Galerię bierze dla siebie jakiś procent od każdego sprzedanego dzieła, wątpił jednak, by placówka utrzymywała się, na tym etapie istnienia, wyłącznie z zysku. Musiała być więc dotowana przez władze miasta lub przez sponsorów.

W praktyce w Galerii wystawiano najczęściej prace właśnie z dalekiego Południa. Nikt się temu nie dziwił. Południowcy od zawsze byli najlepsi w te klocki. Ich ciepły klimat, brak ciągnących się bez końca nocy oraz niezwykła malowniczość krajobrazu sprzyjały rozwojowi plastycznego geniuszu. W naturze Południowców leżało jak najszersze otwarcie na zewnętrzny świat, introwertyzm zaś pozostawiali żyjącym w rytmie pół roku oraz zmagającym się z chłodem i mrokiem Nordlingom.

Aldorent, odkąd odkrył istnienie Galerii Kiramskiej, wstępował do niej za każdym razem, gdy zdarzyło mu się mieć w Detroit trochę wolnego czasu. Nigdy się nie zawiódł. Spacerował zachwycony po wszystkich zakątkach sali, sycąc oczy ciepłymi barwami i zaklętym w tych wspaniałych dziełach światłem. Początkowo Galeria świeciła pustkami, lecz potem liczba zwiedzających zaczęła zwiększać się w zastraszającym tempie. Wkrótce musiał przeciskać się w tłumie, by móc przystanąć na chwilę przed wybranym obrazem.

Sukces Galerii był w pewnym stopniu sukcesem jego własnego sposobu myślenia. Najwidoczniej ludziom powoli przejadała się sztuczność. Pragnęli naturalnego, odwiecznego piękna, które mogli zaoferować kiramscy mistrzowie. Obrazy, chociaż drogie, zaczęły sprzedawać się na pniu. Kupowali je do swoich domów nie tylko bogacze, ale także przeciętne rodziny, poświęciwszy na ten cel równowartość miesięcznych dochodów. Wiedział, że Kiramczycy zadowoliliby się cenami wynegocjo-

wanymi na znacznie niższym poziomie, przypuszczał więc, że organizator imprez celowo je zawyża, zwiększając swoją prowizję.

Kiramczycy, którzy odnosili sukces dzięki Gallerii, byli finansowymi szczęściarzami. W ciągu kilku lat mogli zarobić na własną farmę.

Tym razem także nie pożałował, że tu przyszedł. Zaraz po świętach Bożego Narodzenia, ale jeszcze przed Nowym Rokiem, trafił na wystawę prac utalentowanej malarki z Quatessinu. Przechadzał się w zadumie od jednego do drugiego krańca sali, przystając na długo przed każdym obrazem.

Wszystkie malowidła artystki były związane z morzem. Plaża o poranku, z niebem usianym jeszcze gwiazdami oraz purpurowym rąbkiem słońca, wychylającym się nieśmiało zza horyzontu i wzniecającym na wodzie ogień. Wybrzeże w środku dnia, niemiłosiernie rozpalona od quatessińskiego słońca piaszczysta plaża, spacerująca po niej samotnie para mew i rozłożysty cyprys w prawym rogu obrazu. Żaglowce na falach. Statek w czasie burzy, przechylony na lewą burtę, niebo zaciągnięte ciężkimi chmurami z przedzierającą je na pół błyskawicą. Spadziste klify i przechadzający się u ich stóp ludzie. Łagodne zbocza wąwozów, porośnięte bujną roślinnością, obowiązkowo z fragmentem morza w jednym z rogów płótna. I oczywiście zachody słońca we wszystkich możliwych odmianach. Białe z wierzchu i różowe u podstawy obłoki, feerie barw na niebie i rozplomieniona płynnym złotem i miedzią powierzchnia morza.

Potem subtelna fantastyczność, świadcząca o wyjątkowej mocy wyobraźni malarki. Półnogie syreny śpiewające na wydmach. Wąż morski, wychylający wielki, zwieńczony skórzastym kołnierzem łeb spomiędzy załomów fal. Kolorowe muszle, rozgwiazdy i koniki morskie o fantastycznych kształtach, namalowane w dużym powiększeniu. Czarnowłose tryton, który przysiadł zadumany o zmierzchu na nadbrzeżnym kamieniu, wykorzystując chwilę samotności.

Na koniec seria portretów. Nie miał pojęcia, kto pozował do nich artystce, ponieważ nie wszystkie twarze należały do Południowców. Były to znów baśniowe wizerunki młodych osób obojga płci o niezwyklej urodzie. Wszyscy ci książęta i księżniczki nosili na gęstych, luźno rozsypanych włosach wąskie, wykonane ze

srebrzystego metalu diademy. Aldorent długo nie mógł oderwać wzroku od tych cudownych twarzy, zauroczony malującym się na nich poczuciem nieskończonej szczęśliwości. Było ono połączone z nieznaczną wyniosłością, która nie sprawiała przykrości. Oczy dziewcząt i młodzieńców były rozjaśnione jakby od środka światłem dusz, a na wargach błąkał się łagodny uśmiech.

Kim była osoba, w której głowie rodziło się to piękno i która pewną ręką przenosiła je na płótno? Zauważył nagle kierownika artystycznego wystawy, wychodzącego z pomieszczeń biurowych i kierującego się ku zorganizowanej grupie zwiedzających. Aldorent często rozmawiał z tym sympatycznym mężczyzną w średnim wieku, wypytyując go o kalendarium imprez i życiorysy artystów. Pojawiał się w Galerii z taką częstotliwością i tak mocno angażował się emocjonalnie w jej życie, że stał się tutaj kimś w rodzaju znajomego.

Kierownik również dostrzegł Eliminatora i pomachał mu przyjaźnie ręką. Aldorent zamierzał uciąć sobie z nim dłuższą pogawędkę i wypytać dokładnie o markę. Nie zdążył. Ponieważ właśnie w tej sekundzie zauważył ją w gęstym tłumie zwiedzających.

Stała obrócona do niego plecami, unosząc prawe ramię i pokazując parze młodych ludzi jakiś szczegół na obrazie z syrenami. Na dobrą sprawę nie mógł jej nie dostrzec. Dziewczyna była, wzorem wszystkich swoich rodaków, bardzo wysoka, nie licząc podwyższających ją dodatkowo czarnych pantofli na kilkucentymetrowym obcasie. W Galerii było ciepło, więc nie miała wierzchniego okrycia. Ubrana w czerwoną, sięgającą do samych stóp suknię o prostym kroju, z głębokim, półokrągłym dekoltem i wielką kokardą związaną na plecach – szczegół charakterystyczny dla quatessińskiej mody – z szerokimi, opadającymi przy każdym ruchu rąk rękawami kończącymi się tuż za łokciami, przyciągała wzrok swoją wspaniałą sylwetką. Odznaczała się typowo kiramskimi kształtami, nie wiotkimi, ale masywnymi, gibkimi i sprężystymi, bez śladu zbędnego otłuszczenia. Ze swojego miejsca obserwacyjnego widział nawet na szyi dziewczyny delikatny złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie kulki.

Zachwycony przyglądał się jej skórze, tak śniadej, że aż brązowej, wypieszczonej grzejącym mocno przez cały rok słońcem. Czarne włosy, z jednym pasmem spiętym na potylicy w koński ogon, opadały swobodnie na plecy jak fale morza, które tak bardzo ukochała. Były to bardzo długie i bardzo czarne włosy, okrywające jej zgrabne ciało niczym skrzydło ogromnego kruka. Z tej odległości nie widział oczu i twarzy. Czekał niecierpliwie, aż Quatessinka odwróci się w jego stronę, ale ona wciąż perorowała o czymś zawzięcie z parą nastolatków, nie zwracając żadnej uwagi na przyglądającego się jej mężczyznę.

Aldorent podszedł wolnym krokiem do znajomego kierownika i szepnął konspiracyjnie:

– To ona, prawda?

– Tak, Lorana Yel ze Spid – odparł nieco zaskoczony zainteresowaniem Eliminatora mężczyzna. – Dlaczego pan pyta?

– Cudowna.

– To przecież magiczna – odpowiedział tamten z lekkim wyduńciem warg, mającym wyrażać dezaprobatę.

Słowo to było jednym z pogardliwych określeń Kiramczyków. Odnosiło się do ich zwiększonej w stosunku do Sangacjan wytrzymałości fizycznej i niepodatności na choroby. Funkcjonowało obok takich słów jak dzikus i barbarzyńca. Nawet Sangacjanie stykający się na co dzień z Kiramczykami nie byli w stanie pozbyć się irracjonalnego poczucia własnej wyższości. Także wtedy, gdy mieli do czynienia z osobą tak utalentowaną i zarazem piękną jak Lorana Yel.

Aldorent postanowił tego nie komentować. Powoli wychodził z wieku, gdy ma się chęć na dyskusje światopoglądowe i przekonywanie innych ludzi do swojego punktu widzenia. Teraz chciał tylko brać z życia pełnymi garściami, pozwalając innym na pozostanie przy własnej opinii.

– Nie przypuszczałem, że jest taka młoda – mówił.

Sądził, że tak dojrzała i płodna malarka musi być kobietą pięćdziesięcio-, a nawet sześćdziesięciokilkuletnią. Przygotowywał się psychicznie na spotkanie z taką właśnie osobą. Tymczasem miał przed sobą śliczną dziewczynę, która na pewno nie

przekroczyła trzydziestki. Wzdragał się przed dalszym zawężaniem jej przedziału wiekowego, ponieważ Kiramczycy dojrzewali i starzeli się w nieco innym tempie niż ludzie. O pomyłkę w tej materii nie było trudno i zdarzyło mu się popełnić kilka bardzo zawstydzających gaf.

- Przedstawi mnie pan? - zapytał kierownika.

- Jasne. Tylko poczekajmy, aż będzie wolna.

Po kilku kolejnych minutach, ciągnących się dla Aldorenta w nieskończoność, tamci dwoje wreszcie odeszli. Lorana Yel wciąż stała w tym samym miejscu z dłońmi splecionymi za plecami, wpatrując się w obraz. Nikt do niej nie podchodził, nikt nie próbował jej zaczepiać. Aldorent nie dziwił się temu. Ze swoim wzrostem i posturą, w tej długiej, jedwabnej sukni wyglądała jak królowa. Sprawiała wrażenie niemal tak wyniosłej, jak postaci z jej obrazów.

Mężczyzna z Galerii pociągnął za sobą Aldorenta. Leciutko dotknął ramienia malarki, ściągając jej uwagę.

- Ktoś bardzo chciałby panią poznać - odezwał się we Wspólnej Mowie. - Zostawię was samych. Nic tu po mnie.

Aldorent skinął mu w podzięcie głową i zwrócił się w stronę Quatessinki. Wyciągnął dłoń ze słowami:

- Aldorent Morrison. Jestem wielbicielem pani talentu.

Uścisnęła mu dłoń. Niezwykle spodobał mu się ten pewny, mocny, prawie męski uścisk. Było to dziwne o tyle, że do tej pory szukał w kobietach subtelności, odróżniającej je od mężczyzn.

- Lorana Yel. Dziękuję za komplement. Ale rozumie pan chyba, że tak mówią wszyscy.

Zaśmiała się przyjaźnie. Aż drgnął, słysząc ten dźwięczny, pogodny śmiech. Miała równe, mocne, białe zęby, stanowiące obok białek oczu jeden z niewielu jaśniejszych akcentów w jej twarzy.

- Domyślam się, że nie narzeka pani na brak wielbicieli. Bardzo bym się zdziwił, gdyby było inaczej. W takim razie dodam jeszcze, że jestem również wielbicielem pani urody.

Mówił prawdę. Znał ją zaledwie od kilku minut, lecz to wystarczyło, by Lorana wydała mu się najpiękniejszym stworzeniem na kontynencie. Miała duże, prawie czarne oczy, pełne, ładnie wykrojone soczyste usta i dość szeroką twarz z wyraźnymi, wysokimi kośćmi policzkowymi. Jednym słowem, była typową Quatessinką. W jej oczach przyczał się na stałe kpiący chochlik, sprawiający, że nie mógł być do końca pewnym, czy Lorana żartuje, czy mówi poważnie. Oprócz łańcuszka z kuleczką, cienkiej obrączki na serdecznym palcu prawej dłoni i czerwonej wstążki oplatającej kosmyk włosów nie miała więcej biżuterii. Ta obrączka mogłaby zmylić mniej doświadczonego obserwatora, sugerując, że dziewczyna jest mężatką. Aldorent wiedział jednak, że u Quatessinów obrączka nie jest symbolem małżeństwa. O ile pamiętał, oni nie nosili żadnych ozdób wskazujących na bycie w związku.

Znów się uśmiechnęła i powiedziała:

– Przecież nie zna mnie pan, panie... Proszę przypomnieć mi swoje imię.

– Aldorent.

– ...panie Aldorencie.

– Ten brak znajomości można szybko nadrobić. To zależy tylko od pani.

– O, co to, to nie – pokręciła głową. – Przyjeżdżam tu tylko po to, żeby sprzedawać obrazy. Nie interesują mnie przypadkowe znajomości.

– To, co w życiu najlepsze, pojawia się nie szukane. W drodze całkowitego przypadku.

– Jest pan mistrzem szybkiej i ciętej riposty, jak przypuszczam.

– Jestem mistrzem w wielu dziedzinach, pani Lorano.

Ilka Lorana. Zapadłby się pod ziemię ze wstydu, gdyby wyrwało mu się *miss* Yel. W Sangacji używanie w konwersacji nazwiska, a nie imienia, było wyrazem szacunku. W Kiramie sygnalizowało jego brak i nieprzyjemne uczucia. Bardzo łatwo było popełnić pomyłkę, co często zdarzało się wielu nieobytym w kontaktach z drugą rasą Sangacjanom.

Śmiali się teraz oboje. Dałby bardzo wiele, aby wciąż tak się z nią śmiać.

– Na przykład?

- Na przykład nie brakuje mi pieniędzy. Chciałbym kupić jeden z pani obrazów.

- W takim razie proszę sobie wybrać - odparła bez śladu zdziwienia z powodu tak szybkiej decyzji. - Niektóre są już zarezerwowane dla innych klientów, ale cała reszta pozostaje do pana dyspozycji.

- Co mi pani poleci? Zdam się całkowicie na pani wybór.

Przeszła kilka kroków, stanęła przed portretem pięknej, ciemnowłosej dziewczyny ze sznurem pereł na śniadej szyi. Poszedł za nią, jakby prowadzony na niewidzialnej nici.

- W takim razie proszę kupić ten. To jeden z moich ulubionych, ale daruję go panu z całego serca.

- Daruję...?

- No nie, niezupełnie - uśmiechnęła się zarazem sympatycznie i przekornie. - Nie przyjeżdżam tu charytatywnie. Musi pan zapłacić. To jest dar w sensie duchowym, panie Aldorencie. Ilekroć spojrzy pan na ten obraz, proszę o mnie pomyśleć.

- Będę myślał o pani bez przerwy. Nawet bez patrzenia na obraz.

Trudno było ocenić, czy to wyznanie ze strony obcego mężczyzny zirytowało dziewczynę, czy raczej wprawiło w zakłopotanie. Lorana zdawała się świetnie panować nad swoimi emocjami, a jej brązowa cera sprawiała, że nie rumieniła się jak dziewczęta o jasnej skórze. Zresztą, zastanowiłby się pięć razy, zanim nazwałby ją „dziewczęciem”. Dwudziestokilkuletnie Kiramejki były dojrzałymi, świadomymi swojej wartości kobietami.

W odpowiedzi uśmiechnęła się zagadkowo, pozostawiając mężczyźnie trud odgadnięcia jej uczuć. Miał przed sobą twardy orzech do zgryzienia, ale już postanowił, że spróbuje dokonać tego nierealnego z pozoru podboju. Nawet ona była tylko kobietą. Nawet tak niedostępna i dumna księżniczka jak Lorana Yel musiała kiedyś kochać i mogła pokochać znów.

Wypisał czek na rzecz Galerii opiewający na okrągłą sumę pięciu tysięcy dolarów. Znów z otwartego konta ZSS. Mógł czerpać z niego tyle pieniędzy, ile potrze-

bował, ale przypuszczał, że kiedyś go sprawdzą. Kupowanie dzieł sztuki do własnego mieszkania nie wchodziło w zakres jego służbowych obowiązków.

Lorana podziękowała mu za zakup oszczędnym skinieniem głowy. Nie chciała zaciągać u niego długu wdzięczności w zamian za ten niewielki gest.

– Kiedy znów panią zobaczę?

Chciałby widywać ją codziennie. Najchętniej w ogóle by się z nią nie rozstawał. Sympatia, którą obdarował Quatessinkę, była zupełnie inna niż ta, którą żywił do Amandy. Tamta była mu potrzebna, Lorana nie. Przywiązał się do artystki całkowicie bezinteresownie, a nawet wbrew rozsądkowi i swoim życiowym celom.

Zachwyciła go nie tylko egzotyczna uroda Lorany. Widział jej obrazy, a więc znał skrawek duszy tej kobiety. Z tak niezwykłą wyobraźnią i doskonałym poczuciem piękna musiała mieć bardzo wiele do zaoferowania osobie, z którą się zwiąże. Dlatego też Aldorent Morrison nie mógł oprzeć się pokusie fantazjowania na jej temat. Już teraz był zazdrosny o każdą nie związaną z nim lub z obrazami myśl i uczucie Quatessinki, a przecież ledwo się znali. To on będzie jej kochankiem. On i tylko on. Musi dopiąć swego za wszelką cenę.

Ach, tak. Amanda. Jego dziewczyna, współlokatorka i prawie oficjalna narzeczona. Wiedział naturalnie, że postępuje źle, ale nie zamierzał wycofywać się ze znajomości z Loraną. Nie znał niczego cudowniejszego od tej mącającej jasność umysłu siły, jaką była tak nagle rozbudzona fascynacja malarką. Zresztą, wszystko jeszcze może się zmienić. Nic nie jest ustalone raz na zawsze, nikt nie jest do nikogo przypisany do końca życia, nawet po ślubie. A przecież nie brał ślubu z Amandą.

– W takim razie proszę tu bywać – odparła. – Będę miała kolejne wystawy. Ma pan na nie stałe zaproszenie.

Uśmiechnęła się do niego po raz ostatni i odeszła, by zająć się innymi gośćmi. Ten wdzięczny uśmiech na szerokiej twarzy odcisnął się trwałym śladem w jego pamięci. Stał przez kilka minut bez ruchu, wodząc zamyślonym wzrokiem za wysoką dziewczyną. Wyszedł z Galerii z opakowanym w podwójną warstwę grubego papieru obrazem pod pachą. A także z przeświadczeniem, że teraz nic nie będzie tak proste, jak było jeszcze tego ranka.

Powiesił obraz w największym pokoju, nad kanapą. Na pytanie Amandy, skąd go wzięł, odpowiedział zgodnie z prawdą, że kupił w Galerii Kiramskiej w Detroit. O nic więcej nie pytała, więc nie zwierzał się. Amanda była zresztą ostatnią osobą, której powiedziała o Loranie.

Na ich związku, od samego początku pozostawiającym wiele do życzenia, pojawiały się prędko kolejne pęknięcia. Amanda rozmawiała z nim coraz mniej. Przeszła popisywać się swoją świetną pamięcią do nowinek technicznych, którą tak bardzo w niej cenił. Nie miała zupełnie chęci na wychodzenie z domu, opuszczając nawet treningi w klubie. Allie bardzo się o nią martwiła, lecz nie była w stanie nic poradzić na pogłębiającą się apatię dziewczyny. Amanda przestała nawet rysować dla przyjemności, co wcześniej robiła prawie co wieczór.

Za to coraz częściej wpadała w stan przygnębienia, zupełnie tracąc kontakt z mężczyzną. Zawinięta w koc leżała wtedy całymi godzinami na łóżku, wpatrując się szklanym wzrokiem w ścianę. Gdy pytał, co jej jest, odpowiadała:

– Mój psycholog mówi, że jeśli jak najszybciej nie urodzę dziecka, moje problemy psychiczne będą się pogłębiać.

I zaraz dodawała:

– Musimy wziąć ślub.

Odchodził, nie odpowiadając. Nie umiał jej pomóc. Cóż byłoby łatwiejszego niż pozwolić Amandzie na wyjęcie spiralki i dać jej upragnione dziecko. A jednak nie był w stanie tego zrobić. Wtedy naprawdę nie miałyby odwrotu, a coraz wyraźniej czuł, że popełnia duży błąd, pozostając w tym związku.

Wcale nie był pewien, czy chce spędzić z Amandą resztę życia. Nie chciał robić niczego na siłę. Walczyły w nim sprzeczne pragnienia. Z jednej strony bardzo chciał spełnić nareszcie marzenie matki i dać jej wnuka noszącego nazwisko ukochanego męża. Amanda mogła mu w tym pomóc. Potrzebowali się nawzajem jak powietrza, pewnie dlatego się nie rozstawali, chociaż oboje cierpieli w tym związku. Ich bycie razem nie brało się z poczucia bliskości. Wykorzystywali się nawzajem, aby uśmie-

rzyć tkwiące głęboko w obojgu lęki i zrealizować pragnienia nie mające nic wspólnego z drugą osobą.

Dziewczyna była od niego nieprawdopodobnie zależna. Nigdy nie miała dość uwagi i troski. On z kolei potrzebował dużo osobistej przestrzeni, by nie czuć się jak zagłaskiwany na śmierć kot. Ich potrzeby wykluczały się nawzajem, co sprawiało, że w żaden sposób nie mogli dojść do porozumienia. Nie mógł znieść jej depresyjnych stanów, ona zaś uważała, że jest nieczuły i bezwzględny. On sądził, że powinna być silniejsza, a ona, że zamiast robić różne rzeczy poza domem, powinien spędzać przy niej cały wolny czas, pocieszając ją i głaszcząc po głowie.

Chciałby mieć rodzinę, ale nie z nią. Nie powinien tego dłużej ciągnąć, dla dobra ich obojga. Nie wiedział jednak, w jaki sposób ma powiedzieć Amandzie, że powinna się wyprowadzić. Nie umiał tak po prostu wystawić jej rzeczy za drzwi. W końcu zainwestowała sporo pieniędzy w mieszkanie, które uważała za ich wspólne. Bał się, że jeśli z nią zerwie, Amanda całkowicie się załamie. Pozwalał więc jej u siebie mieszkać i łudzić się nadzieją, że pewnego dnia ich związek przerodzi się w coś poważniejszego. Podtrzymywał iluzję szczęśliwego narzeczeństwa także po to, by uszczęśliwić matkę.

Czuł się jak schwytywany w potrzask. Tylko jedno wspomnienie podtrzymywało go w tym czasie na duchu. Gdy przywoływał w pamięci uśmiech na ciemnej twarzy Lorany i barwę jej spokojnego głosu, był absolutnie szczęśliwy. Marzył o niej bez poczucia winy w każdej wolnej chwili, nawet z Amandą w ramionach.

Wiedział, że prędzej czy później wróci do Galerii. Już nie do obrazów. Wróci do kobiety, za którą tęsknił.

Szczęście dopisało mu pod koniec stycznia. Galeria organizowała kolejną wystawę obrazów Lorany Yel. Przez kilka dni przygotowywał się psychicznie na spotkanie z Quatessinką, na przemian dodając sobie odwagi i wybijając malarzkę z głowy. Niemal modlił się, by marszałek nie zlecił mu nagle jakiegoś zadania w odległej części Kiramu.

Lecz wszystko poszło jak z płatka. Zawiózł do Polinii i zapakował do pociągu relacji Polinia-Buffalo jakiegoś kenlackiego dyplomate, a potem miał wolne do samego wieczora. Marszałek odpoczywał w domu z ostrym przeziębieniem, comiesięczne zebranie zostało więc przesunięte o kilka dni. Zadzzwonił do Amandy i powiedział, że na jednym z najgłębszych poziomów podziemnej części Detroit popełniono tajemnicze morderstwo, którego ofiarą padł młody Gardyjczyk. On jako spec od kultur Kiramu ma pomóc w śledztwie. Wyraził nadzieję, że dziewczyna zagospodaruje sobie jakoś wolny czas, i rozłączył się.

Nie umiał pozbyć się lekkich wyrzutów sumienia, ale nie znajdował innego wyjścia. Każde rozwiązanie wydawało mu się lepsze niż utrata Lorany, a raczej marzenia o niej. Wchodził do Galerii z bijącym sercem, czując się jak zakochany po raz pierwszy w życiu uczeń. Od razu poszukał jej wzrokiem. Malarka poprawiała właśnie jeden z obrazów, który trochę się przekrzywił, bez wysiłku dosięgając zawieszanej wysoko ramy. Ile ona mogła mieć wzrostu? Była od niego nieco niższa. Przypuszczał, że w całym Kiramie nie znalazłby wyższej od siebie kobiety, wyjąwszy sangackie koszykarki.

Włożyła tym razem błękitną suknię, prawie identyczną w kroju jak tamta czerwona, a we włosy wplotła ciemnoniebieską wstążkę. Jedwab owijał się miękko wokół jej nóg i szeleścił delikatnie przy każdym ruchu. Na twarzy dziewczyny malowała się powaga i skupienie.

Wahał się jeszcze przez chwilę, a potem podszedł do niej i odezwał się:

– Wspaniale znów panią widzieć, pani Lorano. Nie zdołałem o pani zapomnieć, więc przyfrunąłem do pani na skrzydłach. Tak, jak się umówiliśmy.

Odwróciła głowę w jego stronę i obrzuciła mężczyznę zadumanym jeszcze spojrzeniem.

– Umawialiśmy się na coś? Proszę mi przypomnieć, skąd się znamy.

Nie powinien się tym przejmować. W końcu przez Galerię przewinęły się tabuny mężczyzn. Pewnie kilku próbowało u niej szczęścia. Nie mógł wymagać, by pamiętała wszystkich.

– Rozmawialiśmy poprzednim razem. Aldorent Morrison. Kupiłem pani obraz.

– Ach, już sobie przypominam! – twarz Quatessinki rozpromieniła się w wyrazie nagłego olśnienia. – To pan kupił *Ileanę*!

– *Ileanę*...?

– Tak nazywam dziewczynę z obrazu – wyjaśniła cierpliwie. – Jest podobna do kogoś, kogo znałam kilka lat temu.

Ileana. Czyżby wolała kobiety? Nie dopuszczał do siebie takiej możliwości.

– Dziś niczego nie kupię. Czy mógłbym zamiast tego zaprosić panią na kawę? Dwa piętra niżej jest całkiem przyzwoity lokal. Moglibyśmy lepiej się poznać.

Lorana znów zmierzyła go badawczym spojrzeniem dużych, czarnych oczu.

– Dlaczego pan sądzi, że mam chęć poznać pana lepiej? Poza tym nie mogę zostawić gości.

– Wystawa potrwa do wieczora. Należy się pani chwila przerwy. Proszę, niech się pani zgodzi. Przecież to tylko kawa. Nic zobowiązującego. Nie zajmę pani wiele czasu. A jeśli nie spodoba się pani moje towarzystwo, zawsze może pani je porzucić na rzecz zwiedzających i kupujących.

– Należy pan do wyjątkowo upartych ludzi – uśmiechnęła się po raz pierwszy w jego obecności. Ten uśmiech rozgrzał zziębnięte serce i uskrzydlił myśli Aldorenta.

– Należę do ludzi, którzy długo nie godzą się z porażką.

Wiedział, że nie mówi prawdy. Jedynie wybrane kobiety zdobywał do upadłego. Resztę swojego życia przegrał już wiele lat temu.

– Dobrze – odparła niespodziewanie. – Jeśli to rzeczywiście nic zobowiązującego, poświęcę panu piętnaście minut. Z przyjemnością się czegoś napiję, bo zaschło mi w gardle. Trudno oddychać tym waszym ogrzewanym powietrzem.

Musiał chwilę poczekać, ponieważ z drugiej strony podszedł do niej jakiś starszy, niski, dystyngowany pan w garniturze, i w nienagannej, choć nie wolnej od akcentu Wspólnej Mowie spytał o cenę jednego z obrazów. Po kilku minutach rozmowy dziewczyna ubiła interes. Aldorent pomyślał, że to się nawet świetnie składa. Lepszy humor Lorany był dla niego dodatkową gwarancją sukcesu.

Idąc za nią do wyjścia z Galerii, zastanawiał się, czemu właściwie się zgodziła. Odwdzięczała się za zakup obrazu? Liczyła na to, że potem nachalny mężczyzna wreszcie się od niej odczepi? A może zaintrygował ją i chciała poznać go lepiej? Tak czy owak, miał tylko piętnaście minut. To niewiele, gdy trzeba sprawić, by kobieta zgodziła się na kolejne, tym razem – miał nadzieję – dłuższe spotkanie.

Zauważył w korytarzu, gdzie było chłodniej, że Lorana drży w swojej cienkiej sukni. Nie mogła przeskoczyć własnej natury. Najlepiej czuła się w miejscach, gdzie słupek rtęci sięgał w cieniu trzydziestej kreski, czyli tam, gdzie ludzie marzyli tylko o zmrożonym drinku.

Nie zaoferował jej jednak swojej kurtki. Wysiedli z poruszającej się bezszelstnie windy, złożonej z lśniących, chromowanych płyt. Po przejściu kilkunastu metrów dotknął lekko ramienia dziewczyny, by zasygnalizować, że dotarli do celu. Wprowadził ją do obszernej, sprawiającej wrażenie sterylności sali, z pomalowanymi na jaskrawe kolory ścianami i dużymi oknami, ustawionymi na całkowitą przepuszczalność. W lutym na tej szerokości geograficznej słońce świeciło zbyt rzadko, by można było zrezygnować w ciągu dnia ze sztucznego oświetlenia. Podzielony na kwadraty sufit jarzył się więc ostrym blaskiem ukrytych pomiędzy listwami ze sztucznego tworzywa jarzeniówek.

Była to typowa stołówka w biurowcu, gdzie pracownicy usytuowanych w budynku firm mogli spotkać się na lunch, wypalić papierosa i poplotkować. Często jadał tutaj coś na szybko po kilku godzinach spędzonych na podziwianiu obrazów. Nie tak wyobrażał sobie pierwszą randkę z tą dziewczyną, ale to było wszystko, co mógł jej w tej chwili zaproponować. Na pewno nie zgodziłaby się na wyjście na miasto.

– Jaką kawę pani lubi? Czarną czy z mlekiem?

Nie potrafił sobie przypomnieć, co pijają dla relaksu Quatessini. Kawę, herbatę czy coś mocniejszego? Chyba nie żyli tylko na soku pomarańczowym.

– Nie lubię kawy – odparła, siadając na krześle. – Jeśli chce pan sprawić mi przyjemność, proszę kupić mi koktajl mleczny z tymi czerwonymi owocami w ma-
lutkie zielone kropki, które u was rosną... Nie pamiętam nazwy.

Zrozumiał wreszcie, że chodzi jej o truskawki. Niestety, bar nie serwował truskawkowych koktajli. Przypuszczał, że Lorana spróbowała tego specjału w McDonald'sie. Zdaje się, że widział jeden w pobliżu. Zamiast tego wziął zwykłe mleko smakowe, poziomkowe zamiast truskawkowego. Nie było szans, by zauważyła różnicę.

Dla siebie kupił kawę. Od dawna już nie sładził i nie dolewał śmietanki. Czuł się trochę dziwnie, siedząc w stołówce z wymarzoną dziewczyną raczącą się z ochotą mlekiem. Przywykł do myśli, że romantyczna miłość to wysokiej klasy restauracja, przygaszone światła, świece na stole, schłodzony szampan i on pokrywający cały rachunek. Ale może nadszedł czas, gdy powinien przestać żyć schematami i pozwolić sobie na większą spontaniczność. Kto powiedział, że ludzie nie mogą być szczęśliwi w otoczeniu pstrokatych ścian, ze szklanką mleka w dłoni?

– Mówmy sobie po imieniu, dobrze? Ja jestem Aldorent, jeśli znów zapomniawsz. Dla przyjaciół Aldo.

Skinęła głową na znak zgody, pijąc z namaszczeniem mleko z poziomkami. Nad jej górną wargą wykwitł różowy wąs. Dziewczyna nie zwracała na to uwagi. Przypomniał sobie, że w dzieciństwie on i Allie pijali na wyścigi mleko, ledwie matka zdążyła przynieść je ze sklepu. Tak bardzo wiele czasu upłynęło od tamtych beztrojskich dni.

– Ile masz lat? – spytał.

Niektóre kobiety spytane o wiek w sposób tak bezpośredni obraziłyby się, ale ona odstawiła wreszcie szklankę, otarła starannie usta serwetką i odpowiedziała:

– Dwadzieścia trzy. A ty?

– Trzydzieści cztery.

– To sporo.

Również nie siliła się na przesadną uprzejmość. Z jej perspektywy trzydzieści cztery lata to było dużo. Pewnie w Quatessinie ludzie w tym wieku miewali już po troje lub czworo dzieci. Zresztą, w jego kraju także.

– Czym się zajmujesz oprócz malowania?

- Chwilowo niczym - uśmiechnęła się, chyba odrobinę zażenowana. - Nie mogę tracić czasu. Mam mnóstwo pomysłów na obrazy i chcę przenieść na płótno wszystkie, zanim się zestarzeję. Wciąż maluję albo organizuję wystawy.

- Da się z tego żyć?

Zastanowiła się chwilę, po czym odparła:

- Wcześniej bywało ciężko. Czasami po prostu brakowało mi pieniędzy. Wtedy odstawiałam na jakiś czas pędzle i najmowałam się do prac dorywczych. Mieszkam w Spid. To miasto portowe. Mamy zarówno port rybacki, jak i punkt dalekomorskiej żeglugi. W porcie zawsze potrzebują rąk do pracy, więc czasami się tam zatrudniałam. No wiesz, wyładowywałam towar, czyściłam pokłady, oprawiałam i pakowałam ryby... Takie tam. Ale odkąd sprzedaję obrazy tutaj, nie muszę tego robić. Pokrywam z honorariów bieżące potrzeby i nawet trochę odkładam. Ta galeria to żyła złota i mam nadzieję, że to się prędko nie skończy.

W jego świecie ludzie żyjący z pracy rąk i pracy głową stanowili dwie oddzielne kasty. W Kiramie te dwa światy przenikały się nawzajem w takim stopniu, że trudno było oddzielić jeden od drugiego. Ci sami ludzie zajmowali się różnymi rodzajami prac i nie uważali tego za degradację.

Spojrzał na jej ręce. Nie były to delikatne dłonie kobiety pracującej w biurze. Miała krótko obcięte paznokcie, a jej ręce nosiły ślady farb. Pewnie nigdy nie udawało się malarce do końca domyc tych zacieków. Do tego skóra na dłoniach była nieco szorstka, co mógł stwierdzić nawet bez dotykania.

- Może powinnaś mieć stałą pracę.

- Może. Kiedyś pewnie o tym pomyślę. Dziś nie chcę zbyt przywiązywać się do jakiegokolwiek miejsca. A ty? Czym się zajmujesz?

- Jestem żołnierzem. Pracuję w jednostce do zadań specjalnych, głównie na terenie Imperium.

To jej wystarczyło. Nie pytała o nic więcej. Może kiedyś powie Quatessince całą prawdę, przypuszczał jednak, że Lorana nigdy nie nabierze podejrzeń. W świecie, który znała, płatni zabójcy nie istnieli.

- Chciałabyś mieć dzieci?

To nie było stosowne pytanie na tak krótką i powierzchowną znajomość. A jednak musiał je zadać. Tkwił już po uszy w jednym bagnie i nie chciał wdepnąć w kolejne.

Popatrzyła na niego wzrokiem pełnym zdumienia. Najwyraźniej nie spodziewała się podobnej bezpośredniości, w jej spojrzeniu nie było jednakże irytacji. Po chwili zastanowienia odparła:

- Na razie nie myślę o dzieciach. Bardzo cenię sobie swobodę, którą mam.

Odetchnął z ulgą. Lorana nie będzie zawijać się w koc i patrzeć pustym wzrokiem w ścianę. Wątpił, by miała powód, by zamartwiać się czymkolwiek do tego stopnia. Powinien teraz zapytać, czy jest z kimś związana. Gdyby odpowiedziała, że tak, nie powinien tracić czasu. Nie zapytał, ponieważ bał się odpowiedzi. Chciał pielęgnować w sobie nadzieję tak długo, jak tylko było to możliwe.

- A ty, Aldorencie? Masz dzieci?

- Na razie nie. Ale może kiedyś będę miał.

Powinien dodać, że nie jest obecnie związany z żadną kobietą. Nie powiedział tego nie dlatego, iż byłoby to kłamstwo, ale dlatego, że wtedy ona mogłaby napomknąć o swoim aktualnym związku albo o którymś z minionych. Nie chciał wiedzieć niczego, co popsułoby mu idealny wizerunek Lorany.

Podniosła się ze słowami:

- Muszę wracać. Dziękuję za napój i rozmowę.

- Ja również dziękuję. Bardzo miło mi się z tobą rozmawiało. Kiedy znów się spotkamy, aby omówić szczegółowo kilka spraw?

- Czy odnoszę mylne wrażenie, czy usiłujesz mnie poderwać?

Gdyby był o połowę młodszy, zaczerwieniłby się jak rak. Wytrzymał jej nieokipiące, ale w gruncie rzeczy przyjazne spojrzenie, i odpowiedział:

- To kiedy i gdzie, Lorano?

- Nigdy się nie poddajesz?

- Czasami. Ale rzadko.

Pochyliła się w jego kierunku, oparła łokciami o stół. Patrzyła teraz w jego oczy z bardzo bliska, a długie włosy łaskotały mu dłoń. Przez chwilę myślał, że

dziewczyna zaraz go pocałuje albo przynajmniej dotknie, ale tak się nie stało. Lorana wyprostowała się i powiedziała:

– Dziesiątego Ches będę miała kolejną wystawę w Detroit. Możesz przyjść, jeśli chcesz.

Przeliczył szybko w myślach daty. Dwudziesty dziewiąty lutego. Cały miesiąc.

– To za długo. Nie mogę tyle czekać. Może udałoby się nam spotkać się wcześniej? Poza Galerią?

– Musiałbyś wybrać się do mnie do Quatessinu. Ale to przecież drugi koniec świata. Naprawdę przejechałbyś kilka tysięcy kilometrów, żeby mnie zobaczyć?

– Dla ciebie przejechałbym kilka milionów kilometrów.

Parsknęła śmiechem. Wyznania mężczyzny wyraźnie ją bawiły. Nie dziwiło go to ani nie urażało. Było zbyt wcześnie, by mogło zależeć jej na Aldorencie w równym stopniu, w jakim jemu zależało na Quatessince. Jeśli taki czas miał w ogóle nadejść.

A jednak nie wahał się rozmawiać z nią otwarcie. Zbyt często posługiwał się półprawdami bądź po prostu kłamał. Tak wyglądało jego życie. Dlatego chciał być wreszcie szczery w takim stopniu, na jaki pozwalała sytuacja. Szczególnie w stosunku do niej.

– Poza tym lubię podróżowanie – dodał. – To dla mnie żaden problem. Armia często wysyła mnie samego w świat i jak dotąd zawsze wracałem w jednym kawałku.

– Dobrze – powiedziała. – Za niecałe dwa tygodnie, dwudziestego trzeciego Alturiak, urządzam z kilkorgiem przyjaciół ze studiów wystawę w Muzeum Sztuki Współczesnej w Onemarze. Możesz się tam pokazać. Obiecuję, że porozmawiamy dłużej.

– Na pewno się pojawię.

Nie wiedział, czy uda mu się dotrzymać tej obietnicy, ale postanowił w myślach, że zrobi wszystko, by tak się stało.

– Odprowadzisz mnie do Galerii? Nie znam dobrze tych pięt.

Zapłacił za napoje. Chowając portfel, pomyślał, że wszystko zaczyna dobrze się układać. Byleby tylko udało mu się wyrwać we właściwym czasie do Onemary. Będzie potrzebował co najmniej trzech dni wolnego.

c.d.n.